

GRYF

Pismo dla spraw kaszubskich.

Wychodzi raz na miesiąc.

Abonament ćwierćroczny z przesyłką pod opaską mr. 1,65

Abonament na poczcie mr. 1,50 kwartalnie.

Adr. redakcyi: „Gryf“ Kościerzyna—Berent Wpr.

Wydawca Dr. Majkowski.

Drukiem H. Fellerera nast. S. Czyżewskiego w Gdańsku.

Divide et impera.

Ze rząd pruski, wyzyskując istniejącą bądź co bądź różnicę pomiędzy mową kaszubską, a książkową polszczyzną, będzie się starał, ażeby klin wbić pomiędzy braci z nad Warty a nas, tego było się można spodziewać. Lecz z drugiej strony najfatalniejszym błędem by było z naszej strony, którzy się poczuwamy jako nierozłączna część żywego organizmu polskiego, gdybyśmy na tę robotę zamykali oczy i utartym zwyczajem nie dotykali tej kwestyi, jak to czynią pewne koła u nas jeszcze po dziś dzień, obawiając się wprost rozwinięcia istoty kwestyi kaszubskiej.

Próby rozbicia naszej jedności na Kaszubach nie datują od dzisiaj. Już za czasów ś. p. Mrongowiusza sejm królewiecki dla pruskiej prowincyi wydał hasło zastąpienia kaszubszczyzny w kościele niemieczyzną. Lecz autorytet Mrongowiusza odwrócił grożące wtenczas niebezpieczeństwo. Na mocy tegoż uznano wtenczas kaszubską mowę jako dialekt wielkopolskiej. Wskutek tego pisze radca rejencyjny Dr. Kipke w sprawozdaniu z roku 1851, że „podług zeznania kaznodziei Mrongowiusza kaszubszczyzna jest narzeczem języka polskiego. Każdy Kaszuba jest też w stanie rozumieć język polski.“

Na tem pozostała sprawa przez dłuższy czas. W roku 1865, kiedy normowano używanie języków nieniemieckich w szkołach, odnośne reskrypty na Prusy wymieniają języki: litewski, mazurski (sic!) i polski. Widocznie kaszubskie narzecze wtenczas, słusznie zresztą, identyfikowano z językiem polskim.

Strajk szkolny dopiero wykrył, że od pewnego czasu rząd zmienił swe zapatrywanie na stosunek kaszubszczyzny do polszczyzny. Jaskrawy na to dowód zawiera orędzie X. Biskupa Chelmińskiego do XX. Dziekanów, w którym X. Biskup zdaje sprawę z swych zabiegów około wprowadzenia nauki religii polskiej w szkołach oraz podaje odpowiedź na to rządu pruskiego. Z różnych względów nie możemy prośby biskupiej podać w całej rozciągłości. Krytyka w niej bowiem zawarta dzisiejszego systemu szkolnego tak jest ostra, że moglibyśmy za publikowanie jej przyjść w kolizyę z prokuratorem. Podajemy więc główne ustępy.

Pisze X. Biskup: Ogólna liczba przedłożonych mi petycji o udzielanie nauki religii katolickim dzieciom polskiego języka w języku ojczystym w drugiej połowie 1906 r. i czerwcu 1907 wynosiła 813. W 454 petycjach stawiono podług prośby, proponowanej przez Gazetę Grudziądzką, rozpoczynającej się od słów „w ciężkiej trosce,“ — wniosek odjęcia nauczycielom, którym powierzono udzielanie nauki religii katolickiej w szkole, pozwolenia na to, w celu zachowania dzieci od niebezpieczeństwa wynikającego z udzielania im nauki wiary w języku dla nich niezrozumiałym. W tym sensie brzmiało też streszczenie na czele tych podań umieszczone: Uniżona prośba o odebranie nauczycielom prawa nauczania religii. Powyższe podanie, wymagające odebrania katolickim nauczycielom religii „missio canonica“ wywołało nawet w polsko-kościelnych kołach wątpliwości ze względu na skutki, wynikające z takiego aktu jurysdykcyi biskupiej.

W 359 podaniach podług formuły Pielgrzyma, rozpoczynających się słowy: „Z bólem serca od lat patrzymy,“ podpisani ojcowie rodzin prosili o udzielenie nauki religii w języku ojczystym dla dzieci mówiących w domu po polsku. Streszczenie tych podań brzmiało: „Najpokorniejsza prośba niżej podpisanych ojców rodzin o łaskawe wyjednanie polskiego wykładu nauki religii w szkołach ludowych.“ Nielicznych kilka podań miało nieco odrębne brzmienie, lecz zgadzało się zresztą co do treści. Nie uważałem za wskazane zająć



wobec tej sprawy stanowiska na zewnątrz, póki trwał ruch petycyjny, do którego przyłączył się strajk szkolny. Z powodu rozognienia umysłów po jednej i drugiej stronie interesowanej, manifestacya z mej strony, chociażby jak najlepiej pomyślana, łatwo mogła podlegnąć fałszywemu tłumaczeniu i przez to chybić celu.

Niebawem atoli po objęciu swego urzędu przez nowego p. ministra, Dra. Holle, podałem pod datą 15. sierpnia 1907 wobec niego otwarte oświadczenie, że nie wypełniłbym swego obowiązku jako biskup podwładnej mi dyecezyi, gdybym wobec odpowiedniej instancyi nie podniósł głosu mego za tem, czego wymagają podług mego głębokiego przekonania sprawiedliwość i lojalność wobec szerepu ludności, liczącego około pół miliona katolików mej dyecezyi. W mem piśmie do pana ministra odwołałem się nasamprzód na memoryał mego śp. poprzednika w urzędzie, biskupa Dra. Leona Rednera, z dnia 5. lipca 1888 r., oraz na pisma przez tegoż przesłane do p. ministra z dnia 7. lipca i 3. grudnia 1890 r., na które w reskrypcie ministeryalnym z d. 27. kwietnia 1891 nastąpiła odpowiedź, opiewająca, że „nadprezydyalne przepisy z dnia 24. lipca 1873 dotyczące nauki w niemieckim języku w szkołach ludowych ówczesnej prowincyi pruskiej, zwiedzanych przez dzieci polskiego i litewskiego języka, niezmiennie pozostają obowiązującymi.“ Podniesiono wtenczas także ze strony p. ministra, „że usunięcie polskiego języka z religii na najniższym stopniu nastąpiło jednostronnie przez nauczycieli, czego pochwalić nie można. Dwóch katol. nauczycieli nie władających językiem polskim król. rejencya miała z powodu tego przesiedlić. Jeżeli w niektórych szkołach zaprowadzono niemiecką naukę religii także na niższym stopniu, to nastąpiło to z powodu, że dzieci wniosły już do szkoły wiadomości w niemieckim, przez co nauka religii przez używanie niemieckiego języka na niższym stopniu nie ucierpiała, jak wykazały egzamina.—“

Wskazawszy na treść powyższego pisma ministeryalnego z dnia 27. kwietnia 1891 podniosłem istniejące obecne niedomagania (Missstände) przy nauce religii rozwodząc się w sposób następujący:

„W rzeczywistości doszło do tego, że reskrypt nadprezydenta z dnia 24. lipca 1873 stosuje się w kilku tylko szkołach. Na ewentualne zapytania u królewskich rejencyi zwykle nastąpi odpo-

wiedź, że szkoły, o których mowa, uchodzą za niemieckie, że polskiego nauczyciela dla niższego oddziału niema się do dyspozycji, że dzieci szkolne dostateczne wiadomości w niemieckim rzekomo przynoszą i t. p. Kto jak ja zna stosunki ludności naszej, szczególnie wiejskiej, dokładniej i z własnego długoletniego doświadczenia, ten na sąd taki zgodzić się będzie mógł w najrzadszych tylko wypadkach.

Tysiącami trzeba liczyć dzieci, które bez żadnych wiadomości niemieckiego języka wstępują do szkoły i przez cały swój pobyt w szkole do walczenia mają z brakiem tych wiadomości.“

Powołując się potem na zabiegi i orzeczenia w tej sprawie swego poprzednika Dra. Rednera ks. biskup pisze dalej:

„Zasady kościoła katolickiego tudzież biskupów ustanowionych w nim jako nauczycieli i pasterzy, zgadzają się zupełnie z zasadami zdrowej pedagogiki i będą także zawsze memi zasadami. Dla tego mogę tylko Waszą Ekscellencyą i rząd państwowy królewski tak uniżenie jak usilnie prosić, aby wziął wzgląd na językowe stosunki dzieci, zwiedzające szkoły ludowe dyecezyi chełmińskiej. Jako biskup dyecezyi, znający nędzę duchową tych dzieci i odczuwając ją zmuszony jestem trzymać się zasady, że w interesie wszechstronnej i dokładnej nauki wiary i wychowania dzieci naukę religii pobierać mają w języku ojczystym.

Jeżeli cel, przezemnie polecony, nie miałby się osiągnąć dać w obecnych stosunkach, to prosiłbym Waszą Ekscellencyą uniżenie, przynajmniej trzymać się reskryptu nadprezydyałnego z d. 24. lipca 1873. Tysiące dzieci i ich rodziców, którzy w nieuwzględnieniu ojczystego języka upatrują niebezpieczeństwo dla gruntownej nauki i utwierdzenia w religii, będą błogosławić dzień, w którym Wasza Ekscellencya, niewzruszona przez przeciwne namiętności i ludzkie zapamiętanie z miłości dla młodzieży i w interesie pokoju i dobra ojczyzny na stosunki językowe należyty weźmie wzgląd i tym maluczkiem użyty przysługującego im z ich językiem prawa naturalnego i boskiego. Z mej strony tylko mogę szczerze życzyć, aby jak najprędzej w naszych wschodnich prowincjach zapanowały stosunki pokojowe zamiast niepokojów i walk, które z ciężką szkodą dla kościoła i państwa mącą spójność i wciągają nawet szkołę i jej dzieci w opłakany współludział.“—

Na to pismo X. Biskupa odpowiedział p. minister pod datą 7. listopada 1907 do rzeczy samej, co następuje:

— „Co nasamprzód dotyczy petycji doręczonych Waszej Biskupiej Mości, to takowe równej treści i mnie także doszły w bardzo wielkiej liczbie. Usunąłem się od odpowiedzi na nie, ponieważ nie może podlegać wątpliwości, że urządzenie tych manifestacyi wywołane zostało sztucznie przez szczupłą liczbę agitatorów. Wynika to już z faktów, przytoczonych przez mego poprzednika w izbie deputowanych, podług których większość podpisów pod petycjami okazuje się jako bezwartościowa. Pochodzą one po wielkiej części nie tylko od osób, które dzieci szkolnych wiele nie mają, ale nawet od dzieci samych. Nawet nazwiska osób, które się wyprowadziły, a w niektórych wypadkach i takich, które nie żyją, położono pod takie petycje. Prócz tego tekst ich jest najczęściej równobrzmiący i zgadza się z wzorem poleconym swego czasu czyteńnikom przez „Gazetę Grudziądzką“. Jeżeli więc ruchowi podług sposobu powstania nie przysługuje znaczenie poważne, to tem mniej można mu przysądzić jakiegokolwiek uzasadnienie wewnętrzne. Nasamprzód podnoszę, że faktyczne stosunki na polu nauki religii zgadzają się z postanowieniami ujętymi w piśmie z naszej strony z dnia 5. maja 1888. Zasady, w tej odpowiedzi ks biskupowi Drowi Rednerowi wyluszczone, obecnie także są miarodawczymi. Podług tego instrukcyja nadprezydyalna z dnia 24. lipca 1873 r. jeszcze dziś obowiązuje w czysto polskich obwodach Prus Zachodnich, **podczas gdy dla kaszubskich powiatów istnieją osobne przepisy**. Polega to na tem, że mowa kaszubska nie jest identyczną z polską (Hochpolnisch), ostatnie więc narzecze (Idiom) nie jest bez wszystkiego dzieciom zrozumiałe. Ażeby dzieciom kaszubskim pojęcia religijne objaśnić w polskim języku, ten ostatni musiałby wprzód zostać przedmiotem nauki. Kaszubski język literacki nie istnieje. Z tego wynika, że nie da się wcale obejść wpajanie małym dzieciom pojęć religijnych w odrębnym od kaszubskiego języku. Jako taki może z pożytkiem wchodzić w grę tylko język niemiecki, panujący w wszystkich innych przedmiotach nauki.“ Tak samo nie może podlegać powątpiewaniu udzielanie nauki od razu w tym języku w mieszanych językowo okolicach, gdzie dzieci wstępując do szkoły już rozumieją nieco po niemiecku. (etwas Deutsch verstehen)

Przytem zważyć trzeba, że liczba pojęć religijnych, jakie dziecko wnosi do szkoły, jest nader szczupłą. Fundament, na którymby mógł nauczyciel budować dalej, rzadko istnieje, przeciwnie musi on go sobie najprzód sam stworzyć. W najłatwiejszy i najlepszy sposób skuteczni to się w ogólnym języku naukowym, jeżeli go dziecko rozumie. Rozporządzenie nadprezydenta z dnia 25. lipca 1873 odnosi się podług tego li tylko do czysto polskich gmin, w których dziecko żadnych zgoła nie posiada wiadomości języka niemieckiego. Jest to skutek zmiany stosunków w tamtejszych prowincjach, jaka nastąpiła w ostatnich 30 latach, jeżeli obszar zastosowania owego rozporządzenia coraz silniej się skurczył. Znajomość niemieckiego także w dawniej czysto polskich okolicach od r. 73 znacznie postąpiła. Ścisłejsze stosunki, w jakie ludność polska weszła z ludnością niemiecką przez fluktuację robotników, z powodu ustawy o wolnem przesiedlaniu się, przez wzmagające się obieżyśastwo i ostrzej przeprowadzony obowiązek ogólny do służby wojskowej, z biegiem czasu wywołały niezaprzeczalne zmniejszenie się czysto polskich obwodów. Ustawa o języku handlowym z 28. sierpnia 1876 zmusiła także ludność w domu mówiącą po polsku, aby się we własnym interesie nauczyła po niemiecku. Stosunki szkolne uległy z biegiem lat coraz większej zmianie na lepsze. Wskutek tego i dzieci w czysto polskich okolicach mają więcej sposobności usłyszyć wyrazy niemieckie niż dawniej. Okoliczność ta spowodowała przez się sama łatwiejsze nauczanie się niemieckiego przez dzieci. Do tego przychodzi istotne polepszenie metody narczania w ostatnich latach Przez zręczne zastosowanie tejże, dzieci w krótkim czasie nabywają pewnego skarbu niemieckich wyrazów i form, który przewyższa zapas językowy mowy ojczystej, wniesiony do szkoły, niebawem co do objętości, szczególnie zaś także co do wzorzystości, jasności i dobitności wyobrażeń i pojęć z niemi złączonych w mierze zwiększającej się stopniowo. Skutkiem tego nauka religii wnet z większym zyskiem i skutkiem może być udzielaną w tym języku, w którym się skutecznie rozszerzania duchowego widnokregu w większości innych dziedzin. Niejednokrotnie mi zapewniano ze strony kompetentnych znawców tamtejszych stosunków szkolnych, że skutkiem polepszonej metody narczania i obostrzonej kontroli nauczycieli dzieci obecnie lepiej wnikają w zrozumienie religijnych prawd niż dawniej. Wszakże

tylko przez udzielanie nauki religii w języku, w którym reszta nauki się odbywa, więc w niemieckim, możliwem jest zastosowanie tej nauki do reszty tak zw. etycznych przedmiotów, ażeby przez takie wzajemne oddziaływanie dodatni wpływ wywrzeć na kształcenie rozumu, uczucia i woli i przez to kłaść podkład pod jednolity religijno-moralny światopogląd.

Skoro uspokoi się istniejące sztucznie wywołane i przez niesumienną (gewissenlose) prasę nadmiernie rozdmuchane wzburzenie, wtenczas niechybnie nastąpią błogie owoce terażniejszej metody nauczania.“

*

Z odpowiedzi p. ^{*}ministra na prośbę ^{*}ks. biskupa musiałby nieobeznany z stosunkami wnosić, że dziecko polskie wstępuje do szkoły napół dzikie, bez wyobrażeń moralnych i z nadzwyczaj ubogim zasobem wyrazów.

Że tak nie jest, każdy znający Kaszuby przyznać musi. W zaciszu domów i wśród pracy na polu dziecko, nim jeszcze wstępuje do szkoły, ma sposobność wzbogacenia umysłu całym zasobem zasad i wyobrażeń, wcielonych bądź to w pacierz polski, bądź to w naukę rodziców, w wierzenia, podania i bajki ludowe. Zasób to bogaty, szkoda tylko, że szkoła nie buduje na tym fundamencie, ale młodociany umysł wprowadza na tory zupełnie nowe, które dziecko, kończąc szkołę bezpowrotnie opuszcza.

Nie o tę kwestyę nam atoli na tem miejscu chodzi. Nas szczególnie obchodzi, że w wyżej przytoczonym reskrypcie ministeryalnym władza świecka po raz pierwszy świadomie opuściła grunt, na którym stanęła po historycznem oświadczeniu Mrongowiusza, i czyni rozdział pomiędzy dziećmi polskimi a kaszubskimi. Ciekawi jesteśmy, od kiedy to i jakie „odrębne dla kaszubskich powiatów istnieją przepisy.“

Wiadomo nam w każdym razie z kompetentnego źródła, że rząd od pewnego czasu dzieli szkoły ludowe na „szkoły na podstawie niemieckiej“ i „szkoły na podstawie polskiej“ (auf polnischer Grundlage), podług tego, czy większość dzieci jest polską czy niemiecką. Na Kaszubach atoli wszystkie szkoły, chociażby w nich ani jednego dziecka niemieckiego nie było, liczy się w czambuł jako „szkoły na niemieckiej podstawie“ (auf deutscher Grundlage). Wydaje się, jakoby twórcy takiego podziału uważali mowę kaszubską jako narzecze języka niemieckiego. Od dziewięć

wieków i dłużej język polski był u nas na Kaszubach językiem kościelnym, i za pomocą jego wychowywały się niezliczone pokolenia w wierze i pobożności, cechujących aż do dziś dnia plemię pomorskich Kaszubów. Od razu wykryto, że Kaszubi po polsku nie rozumieją, mimo, że gazet polskich w liczbie wyżej niż 100 tysięcy rozchodzi się po Kaszubach.

W kościele w Smołdzyńcu, dawnym centrum duchowem Kaszubów, mieszkających nad ujściami Łeby i Lupawy, u tak zw. Słowińców i Kabatków, przechowują się do dziś dnia dwie książki religijne dowodzące, że nawet tak daleko od głównych ognisk życia duchowego polskiego polska mowa była od dawna językiem kościelnym. Książkami temi są: Śpiewnik kościelny wydany przez pastora bytowskiego Szymona Kroleja w r. 1586 oraz katechizm luterski Michała Mostnika, twórcy odrębnego kościoła słowińskiego wydany w roku 1643. Język tych dzieł, które niestety nie weszły jeszcze jako pomniki kaszubskie do literatury polskiej, jest polski z domieszką niektórych form i wyrazów ludowych kaszubskich. Porównawszy go z dzisiejszą nie wygastą jeszcze doszczętnie mową tamtejszych Kaszubów odrazu wyłania się ta sama różnica, co pomiędzy kaszubskim i książkową polszczyzną. A jednak tamtejsi Kaszubi rozumieli język tych książek i polską mowę swych kaznodziei, a nawet, jak tamtejsze akta kościelne dowodzą, wczynali ciężkie rozruchy, kiedy wypędzono ten język z kościołów.

Uświadamiamy sobie, że wywodami naszymi nie przekonamy tych, którzy rzeczywistego stanu rzeczy uznać niechęć. Piszemy natomiast pod adresem tych pomiędzy nami, znajdujących się nie w ludzie, ale w napół zniemczonej inteligencji kaszubskiej, którzy wskutek bałamutnych wywodów pseudohistorycznych „Ostmarki“ i gazet i czasopism niemieckich nie widzą organicznego związku pomiędzy naszym życiem i kulturą ogólnopolską i skutkiem tego skłaniają się ku niemieczyźnie.

Tak samo wobec władzy kościelnej z całym naciskiem podnosimy, że językiem w kościele i w nauce wiary na Kaszubach od wieków był język polski. Wiemy bowiem dobrze, że nawet w kapitule pelplińskiej poczyna pokutować różniczkowanie dzieci polskich i kaszubskich. Na razie niebezpieczeństwo może nie wydaje się tak groźnym. Jeżeli atoli spojrzymy na coraz liczniejszy

zastęp księży, idących rękę w rękę z hakatyzmem, to w niedalekiej przyszłości ukazuje się możliwość, że tak samo jak szkoły kaszubskie już dziś się uważa jako „na niemieckiej podstawie stojące,” tak i parafie kaszubskie zostaną ogłoszone jako stojące na tej samej „niemieckiej podstawie.“ A wtenczas rozpocznie się rugowanie „niezrozumiałego“ polskiego języka z kościołów.

Zważyć należy, że takie germanizowanie parafii kaszubskich byłoby nawet na rękę rozpościerającym się u nas coraz zuchwalej centrowcom, którzy w ten sposób pragną powetować straty poniosłe na Górnym Śląsku. Wszak niedawno patrzyliśmy na to, jak niemiecko-katolicki „Volksverein“ założył dwie silne placówki na ziemi kaszubskiej: w Tczewie i w Redzie, po których, skoro oburzenie nieco przycichnie, założone zostaną niezawodnie i inne. Lud kaszubski w północnych powiatach: w wejherowskim i puckim, nie posiada tej odporności narodowej, co Kaszubi w kościerskim, kartuzkiem i chojnickiem. Łatwiej skłania się tam do niemczyzny, i tem łatwiej ją przyjmie, gdy zbliży ona się doń w niewinnej szacie katolicyzmu niemieckiego. O tem bardzo dobrze wiedzą pochodzący z koszejderyi proboszczowie parafii gdańskich. Jeżeli zważymy, że ci proboszczowie siedzą za jednym stołem z hakatystycznymi konserwatystami gdańskimi, że dalej ich wpływ w Pelplinie z powodu poparcia ze strony rządu jest wszechwładnym, to nasuwa się nam obawa, że niedługo miarodawcze czynniki dyecezyi chełmińskiej stanąć mogą na gruncie powyższej odpowiedzi ministeryalnej i za pomocą zasady divide et impera przysparzać będą neofitów niemieckim organizacyom katolickim.

Zwracamy uwagę społeczeństwa na groźne to dla kresów kaszubskich niebezpieczeństwo, aby odnośne czynniki wcześniej sypały tamy przeciw nadchodzącej nawałnicy. Lud kaszubski w dzisiejszych czasach nie może się już oglądać na pomoc niczyją. Należy go więc uzbroić w tak silną świadomość narodową, ażeby ni rząd pruski ni władza duchowna nie rozstrzygały o jego narodowości, ale on sam.

Kaszubi Zachodniopruscy

w świetle najnowszej statystyki urzędowej pruskiej 1905 r.

Urząd statystyczny krajowy wydał tego roku (w osobnych zeszytach) rezultaty obliczeń dokonanych w roku 1905, a dotyczą-

cych ludności pod względem wyznaniowym i językowym, gmin miejskich i wiejskich, tudzież gruntów, podatków i t. d. Odnosny zeszyt dla Prus-Zachodnich nosi tytuł: Gemeindelexikon für das Königreich Preussen, auf Grund der Volkszählung vom 1. XII. 1905 bearbeitet vom Königl. Preuss. Statistischen Landesamte 1908. Heft II. — Tegoroczne wydanie różni się o tyle od przeszłych, iż po pierwszy raz uwzględniono w poszczególnych gminach stosunki językowe (por. str. VI, 6). Językowi kaszubskiemu rząd wyznaczył bądź to osobną rubrykę, bądź to włącza w uwagach, na dole umieszczonych, po kaszubsku mówiących z pod liczby Polaków. Podług powyższych obliczeń przedstawia się cyfra mówiących po kaszubsku w poszczególnych powiatach jak następuje:

Powiat Chojnicki:	5157	Kasz. kat.	—	Kasz. ewgl.	5157	razem.
„ Kościerski:	2516	„	„	„	2516	„
„ Człuchowski:	2874	„	„	„	2874	„
„ Kartuzki:	21382	„	„	„	21382	„
„ Wejherow:	17256	„	1	„	17257	„
„ Pucki:	17838	„	6	„	17844	„
„ Gd.-Górski:	3293	„	4	„	3297	„
„ Gdański-Dolny:	12	„	3	„	15	„
„ Miasto Gdańsk:	145	„	2	„	147	„
*) „ Tucholski:	15	„	—	„	15	„
„ Tczewski	120	„	3	„	123	„
*) „ Złotowski	2	„	—	„	2	„
*) „ Starogardzki:	165	„	2	„	167	„
			21	„	70786	„

Oczywiście, że z powyższych liczb prawie żadnych nie można wysnuwać konsekwencji, gdyż bynajmniej nieodpowiadają rzeczywistości. Wykazuje to bowiem owa znaczna różnica, zachodząca pomiędzy statystyką Ramulda, (który roku 1893 naliczył w Prusach Zachodnich 162 947 Kaszubów,) a ostatniem obliczeniem urzędowem. Śmiało twierdzić można, że większa połowa Kaszubów podała mowę polską jako ojczystą i to po pierwsze dla tego, że między polskiem a kaszubskiem nie upatrują różnicy, po drugie uczyniła to z obawy, z reszty w pewnej mierze uzasadnionej, ażeby ich w przeciwnym razie rząd nie zaliczył do Niemców. Pozatym odgrywała przy tem swawola urzędowych zapisywaczy niemałą rolę, gdyż

*) Powiaty te leżą poza terytorjum kaszubskiem.

Niemiec, posłuszny wskazówkom urzędowym, zapisał ich jako Kaszubów, Polak natomiast jako Polaków. Rzecz zresztą tak naturalna, że dowody zbyteczne.

Aczkolwiek z powyższej statystyki co do ogólnej liczby Kaszubów nawet najskromniejszych wniosków ciągnąć nie można, — a więc statystyka Ramultha sporządzona roku 1893 zawsze jeszcze pod tym względem jest najkompetentniejsza, — mimoto niejeden ciekawy szczegół z niej wyczytać można. Nasamprzód uderza, że liczba Kaszubów ewangelików zachodnio-pruskich jest wprost nikłą (23), gdy tymczasem Ramułt naliczył ich w samych Pr. Zachodnich aż 4498, liczba wcale pokaźna, co Ramułt z widocznym zadowoleniem podkreśla.

Taksamo liczba żydów-Kaszubów, jeśli o takich mowa być może, równa się niezawodnie wprost zeru. Z statystyki wprawdzie wynika, iż istnieją żydzi nie mówiący po niemiecku, lecz ich właściwego języka ojczystego bliżej nie określono.

Co do dwujęzycznych Kaszubów, władających obok kaszubskiego i niemieckim językiem, statystyka zupełnie milczy, lecz umieściwszy ich pod rubryką „deutsch und eine andere Sprache,“ zalicza bez ceremonii do Niemców. Uszczerbek to może wcale pokaźny, chociaż liczby właściwej ani w przybliżeniu podać nie można.

Najciekawszym natomiast szczegółem jest to, że dla języka kaszubskiego rząd osobną wyznaczył kolumnę, ale tylko dla powiatów: puckiego, wejherowskiego i gdańskiego górnego, spychając tu Polaków pod rubrykę „eine andere Sprache.“ Co do reszty powiatów kaszubskich, to przeciwnie język polski ma osobną kolumnę, a kaszubskie przypada pod rubrykę „eine andere Sprache,“ naturalnie, że w uwagach na dole umieszczonych właściwą liczbę Kaszubów w poszczególnej gminie bliżej się określa.

Tego rodzaju manipulacja robi wrażenie, jakoby rząd nietylko stał na stanowisku odrębności języka kaszubskiego, lecz dzielił terytoryum kaszubskie na dwie połowy, — na właściwie kaszubską, obejmującą 3 powiaty północne, i niewłaściwie kaszubską z resztą powiatów. Ze tego rodzaju różniczkowanie, stosowane tutaj przez urząd statystyczny, nie jest przypadkowym, z góry chyba przypuszczać można. Ale właściwą przyczynę trudno wyśledzić. Stosunkowo znaczna bowiem liczba Kaszubów w trzech północnych powiatach

bynajmniej do takiego podziału nie uprawniała, gdyż wtenczas i powiat kartuski zaliczyć by trzeba do owej północnej połowy, jako posiadający największą liczbę Kaszubów, bo 21 382. Przypomina to natomiast bardzo teorię Dra. Lorentza,*) który na podstawie badań lingwistycznych podobny stosuje podział, przypisując północnym powiatom (mniejwięcej od źródła Raduni) pewną odrębność, południowe zaś uważa za spolszczone.

* * *

Janowicz.

Szkoda, że szanowny autor obok podanych podług statystyki pruskiej liczb dotyczących Kaszubów nie podał równocześnie liczby ogólnej ludności polskiej. Wtenczas bowiem czytelnik z dalszych stron Polski mógłby sobie dokładniejsze wyrobić zdanie o prawdziwej liczbie Kaszubów. Jeżeli n. p. w powiecie kościerskim liczba Kaszubów podana na 2516 dusz, to znający stosunki doliczy do tej liczby także resztę ludności polskiej, ażeby cyfrę w przybliżeniu prawdziwą osiągnąć. Cała bowiem ludność polska powiatu kościerskiego z małymi wyjątkami mówi po kaszubsku, zapisała się zaś jako popolsku mówiąca ze względów politycznych. (Przyp.Red.)

Z niepisanej literatury kaszubskiej.

Bajki kaszubskie.

O głupym, co strachu nimniot.

Pierwij to schlachcece mieli wieldzi prawo i nieroz sę zdarzelo, że biednych ludzy bezkarnie okrzywdzyle. A za to niejednen sę dostotł do piekła, a jinny muszele dłudzi lata pokutowac na zemni jako straszci**), jaż chto przeszed i jich webawieł. Ale na to sę nie koždy odwożeł, bo to muszoł bec odwożny chłop.

Zdarzelo sę tede, że jeden ojc miot dwuch senów, jeden beł mądry, a ten drudzi, tego mniele za głupogo. Żele oni barzo biedno, a jak sę na biedę rozgorzyle, to zdorzalo sę, że i nabile głupymu. Ale ten głupy beł przetym opsci***) chłop i nie bojoł sę niczego. Tak ten starszy so roz uwožoł, że równak powinien mu roz strachu napędzec. Jak ten głupy roz późno szed z pola, tak jego brat so wsadzeł wędziel w gębę i udajac złygo ducha, zastąpiel mu droge. Ale ten głupy sę nie złał, le klasnał go cijem w łeb, jaż on wszetci gwiozde widzoł. Tero ten mądry zaczał na niego szchalowac, że go bije, ale głupy odrzek:

*) por Roczniki. Tow. N. w Tor r. IV. str. 179. **) upiory ***) łebski.

Nimog te zaru mowic, że te tu jes? Bełbem cy doł poku. Jo meszłó, że to mię zły duch zastąpiel droge. Co tero dostoles, tego ce nicht nie odjimmie! —

Ale ten mądry pobieg zaru w przodek do dom i uskarzeł se do ojca, że ten głupy go biel. Tak ojc se srodze rozgorzeł i wepędzeł tego głupogo z domu precz.

— Te naju obuch jesz zabijesz w twoij głupoce. Wez miech i jidz, chdze ce oczu poniosą! —

Tak ten głupy wzał mniech pod poche i szed. Kureszce on przeszed w jednę wies. Tam go se spytele, co on za jeden. A on rzek: — Jo jidę straszka szukac! — Tak oni se z niego wesmniele i powiedzele, że on je głupy. Ale on szed do karczme, żebe se posylec. Karczmoz se go zaru pytoł, co on za jeden je, a głupy znouu odrzek: — Jo jidę straszka szukac! —

— Tu we wse nima straszków, — rzek karczmoz. — Ale kawał za wsą stoi opuszczony folwark. W nim są podobno wiedz bogactwa, ale on stoi puśty. Tam nicht nie mieszko, bo tam tak straszcy, że koždy umrze od werzasu!*) —

— To jo tam pude! — odrzek ten głupy. Ale karczmarzowi beło młodygo chłopoka zoł i on chcoł mu to wegadac. Ale to nick nie pomogło. Głupy se uparł i le proseł, żebe mu karczmoz doł parę bulewków i perzynkę kasze w miech i mu droge do nygo folwarku pokozoł.

Karczmoz go też zaprowadzeł prosto do kuchni tego folwarku i tej ucek chyże precz, bo se ju szaro na swiece robielo. A ten głupy ostoł som na tym strasznym folwarku, chdze zewyj dusze oprocz niego nie beło. Ale on se nijak nie bojoł. Weszukoł so gropeczkę, noloł wode, zmniecel odziń, wesepoł swoje bulewci z miecha, sod i zacząn je skrobac. Jak on z wszyscim przeszed do szeku i beł w nolepszim gotowaniu, tej z góry z komina cos wrzeszczy: — Ju jo lete! —

— Nie lec jeszce! — zawołoł głupy. — Be jo so strawę gotuję i rozwalisz mie odziń! —

Tak za chwile znouu zawrzeszczało:

— Ju jo lete! —

— Poźdej**) że jesz chwilkę! — wołoł głupy. — Jesz jo nimom moi strawe gotowuj! —

*) przestracu **) poczekaj.

Ale ju w tym pół chłopa z nogami zlecało z komina na ognisko. Ale głupy się nick a nick nie zląk, le werzucel z kominka nego pół chłopa do kuchni i patrzy dalij swygo gotowaniu.

Tak za chwilę znowu z nego komina cos wrzeszczy:

— Ju jo letę! —

— Poźdej że chwilę! — wołol głupy. — Zaru jem z gotowaniem do kuńca. Ale nick le drugo połowa chłopa z głową spadła z góre w komink.

— Moges też kąsk poczekac! — rzek głupy i cesnał drugą połowę w kuchnię. I dalej gotowol swoję strawę. A jak ugotowol welol na miskę i sod do stołu jesc. Tero on dopieru widzy, że w kuchni stoi duży chłop, z brodą jaż do pasa. Ale on się nick nie bojol i rzek: — Podz też jesc. — Ale straszku odrzek: — Jo niechcę! —

— Ciej nie, to nie! — odrzekł głupy. — To więcyj ostanie dło mie! — I jod, jakbe nigde nic. Jak le ju mało resztko ostala, tej ten straszku go prosel: — Dej mie tę resztę zjesc! — Ale głupy odrzek: — Ciej te nie chcol zaru jesc, tero jo ce nick nie dom! — I zjod wszetko, jaż miska się swiecela.

Jak on się tak dobrze najod, tej przestapiel nen straszku do niego i rzek:

— Tero te muszesz zemną jic za pase! —

— No, no! — odrzek głupy, — tak prędko zaru po jedzeniu jic za pasę, tak jo nie chcę. Noprzod jo so perzynke odpoczne. Tede możema jic za pase! — Tak jak on się odpoczal, tej znowu straszku do niego przestapiel:

— Ale tero poj ze mną za pase! —

— Czemu nie! — rzek głupy. — I chwecyle se mocko. Ale wnetk ten głupy rznal straszka o ziemię, jaż cała kuchnio zajeknela.

— Tero mosz, czegos chcol! — rzek głupy. Ale straszku wstol i rzek: — Żebes te mie beł doł tę resztę od twoij strawe zjesc, to jo be cy beł doł radę. Ale przez to, żes te mie poradzel, jo jem webawiony, a ciebie czeko wieldzi szczescy!

Wiedz, brace, że jo za żecu beł szlachcecem i wieldzim panem, a ten folwark i cały okrag mnie nolezol i dzys jesz noleży, bo nicht tu jeszcze po moi smierce noce żyw nie przetrzymol. Ale jo beł okrutny barzo dla moich ludzi. Jak jo se mocko rozgorzel, tej jo koždy roz doł chłopa na komin polożec i żoga w

połowie przeżogowac. A po mojej śmierci czarce ze mną to samo robile, jaźbe przeszed taci odwoźny i mocny człowiek, co be noc w tym zomku wetrzymoł i mię paradzeł. Tes to uczynieł, więc też ten cały folwark tero je twuj. A jo ju tu więcej straszec nie będę. Ale tu pod nami w sklepie jo jesz mom wiele pieniędzy. Te jo muszę podzelec. Wez swiatło i poj ze mną na doł! —

Tak ten głupy wżan polącą drzozgę i swieceł i zesze razem do sklepów. Tam on uzdrzoł cilkanosce beczk, czubato pełnych, a to bełe same pieniądze. Tak ten umarły rzek: — Te pieniądze te podzelisz na trze dzele: Jeden dzel dostaną moi krewny, drudzi dzel dosz koscołowi za moję duszę, a trzeci dzel je twuj! A ten folwark i zemnie naokoło też są twoje. — Potym ten zmarły szlachcec znik i sę ju więcej nigde nie pokozoł. Głupy ale zrobieł so legowisko w kuchni i społ jaź do rana. Tero on mniol folwark i pieniądze.

Jak on sę wespoł, tej on szed do sklepu i nasepoł so w miech odnych pieniędzy i szed do wse do karczme. Karczmoz sę srodze zadzewieł, jak on go żewygo uzdrzoł, ale głupy tero zażadał jesc i pic co nolepsygo. Karczmoz ale sę z niego wesmioł:

— To be ce sę widzało! Patrztaż go jaci pon! A czym be te mie zapłaceł? —

Na te słowa ale głupy wżan i trzasnął miechem o stoł, jaź nen pęk i pieniądze sę po podłodze kulale i krzyknał:

— Wej co jo mom pieniędzy. A tero dej mi jesc i pic jak panu! —

Tero karczmoz sę chyże uwijoł. A jak głupy sę najod, tej opowiodoł mu wszetko. Tej on zabroł ludzy ze sobą i szle podzelec te pieniądze. A głupy ostoł na folwarku i doł zawołać jesc swygo ojca, z chternym oni razem gospodarzyle jaź do smnierce.

O głupym, co pińcesę dostoł.

Pewien ojc mniol trzech senów, a ten jeden pomiedze nimi beł głupy, a te drudzi bracu i ojc nimniele go za nic. Niedalek żeł też bardzo bogaty graf, chteren posodoł srodze wiedzki ogród, pełen jabk, kruszków, sliwków i nopięknniejszygo brzadu*) na swiece. Ale do

*) owoc.

tego ogrodu przelotywały co noc trze łabędzie i złomywały koždy roz trze drzewka. To tego grafa barzo mortwielo. Tak on so nie wiedzoł lepszyj rade, le wzał i ogłoseł po całym kraju, że do tymu barzo wiele pieniędzy, chto mu ne łabędzie abo wepłoszy, że ju więcyj nie przyńdą, abo też i uchwecy.

To uczuł i ojc i jego trzei senowie. Tak ten nostarszy rzek:— Tatku, jo puđę na te łabędzie czotowac!—

— Jidz, muj seniel! — odrzek ojc.

Nostarszy szed do ogrodu grafa i usod sę pod drzewo i pilowoł. Ale wnetk on usnął, bo mu sę zachcało spac. Tak o północe stoł sę wiedzci wiater, a w tym wietrze przelecałe trze łabędzie i złomałe trze drzewka. Nad ranem, jak graf szed do swygo ogrodu, tej widzoł stróża spiącygo pod drzewem a trze drzewka połomany. Tak on sę srodze rozgorzeł i doł mu nos i usze obcać i go posłoł do dom do ojca.

Na drugą noc szed ten drudzi syn. Ale jak przeszła noc, tak on sę usod w trowę i usnął. O północe zos zrobieł sę wiedzci wiater i przelecałe trze łabędzie i złomałe znowu trze drzewka. Jak graf reno widzoł, że stróż społ zamiast pilowac, doł mu też nos i usze obcać i go posłoł do ojca.

Tak tero ten głupy syn rzek do ojca: — Jo puđę, tatku! —

Ale ojc go nie chcoł puscec i rzek: — Te równak jes głupy. Cie j twoi bracu bez nosów i uszów wrocyle, to te całą głowę stracysz. Cuż tam po tobie! —

Ale nen głupy sę upar, tak że go ojc puscec muszoł. — Noprzod jo so ale upiekę plock, bo to sę chce jesc w noce. Będe jod i pilowoł! —

Tak on so upiek plocka, a te drudzi bracu sę z niego

smiele. Ale on sobie z tego nick nie robiel, le wziął plock w torbę i szed do grafowygo ogrodu. Jak się decht cemno noc stała, wejął on swygo plocka i chodzel jedząc od drzewa do drzewa po całym ogrodzie. O polni noce*) stol się wioldzi wiater i trze łabędze zlecale na drzewka i zaczęle je zaru łamac. Ale głupy przeskoczel i od razu jednygo z tych łabędzy chwecoł, a te drudzi z wioldzim krzyciem ucekle. W tyj chwile ale z tego łabędza stała się barzo piękno panna, chterna stojąc przed nim, rzekła:

— Jo jem prińcesą i z bardzo dalecich stron. Te dwa drudzi łabędze, to są moi bracu. Nasze cały królestwo i zomk nasz zaczarował jeden czarnokseźnik, ale te uchwecywszy mie, webawieleś nas. Tero ma ju tu więcyj nie przelejczema! —

Ale jimu się ta panna barzo widzała i od razu ją polubiel. Tak on ją prosel, żebe przeszła z nim do dom i beła jego żoną. Ale ona odrzekła:

— To ni może bec! Noprzod jo muszę się nazod przemienic w łabędza i polecec do dom. A te, żeli chcesz mie nalezc, to muszysz szukac drodzi dalecij i ciężcij, bo jo mieszkom w kręgu okręglym żelaznyj zemni. W tym też panna się przemieniela w biołygo łabędza i uniosła się pod niebo, a chłopok za nią patrzel, jaż ona się zrobiela jak mało bioło plamka i kureszce znikła w chmurach.

Jak graf nad ranem przeszed do swygo ogrodu, to on się srodze uceszel, że więcyj drzewk niebelo złomanych. Tak on tymu głupemu doł wiele pieniędzy i ten z nimi przeszed do ojca nazod. Tero jim belo dobrze, bo mieli wszetcigo dosc. Ale ten głupy nimniol żodnygo miru doma i rzek pewnygo dnia:

*) północy.

— Tatku jo pude w swiat! — Ale ojc i bratowie se z niego wesmieli: — Patrzta le tego glupygo, on be chcoł jic w swiat. Sedz doma i cesz se, ze mosz co jesc! —

Ale on se nie doł zatrzymac i szed, a zabroł ze soba dzel tych piniędzy. co mu je doł graf. Z tymi on se webroł szukac drodzi do kregu okreglygo zelaznyj zemni. Cały tydzień on szed, jaż on przeszed w głeboci las. Tam on widzoł, ze bile se trzei chłopi, le se tak odzewało. On do nich przestapiel i se spytoł:

— O cuz wa se tak mocko bijeta? — Ma se bijema o naju majatk, bo ni mozema se podzelec! —

— A cuz to je za majatk? — spytoł se glupy. — Mozebe jo waju zgodzel! —

A jeden z nich odrzek:

— To są nopierw taci bote, jak te obuje, to co krok, to mile drodzi zrobisz. Tede me mome tacl ploszcz, jak ten obuje, to nima czlowieka widzec, co go mo na sobie, a kureszce ma moma kapelusz, co mo w tele pióro. Jak ten kapelusz piórem w przodek obrocy, to to zaczyno strzelac i trzosc robic, jakbe kanone pekale. Tero ma se chcema rozyndz, i nie wiema, co z tych rzeczy kozdy z naju mo wzac! —

— Wieta wa co? — rzek jim glupy. — Jo wama waju majatk odkupie, a wa se piniędzami podzelita po rownych dzelach! —

Na to ni trzei przestele. I ujednele se, ze on mniol jim dac sto talarów za bóte, sto za ploszcz i sto za kapelusz. On jim zaru weplacel piniędze i obul bote i wzal ploszcz i kapelusz w torbę na wszelci wypodk. Teru ju mu szło prędyj, bo co krok stawiel, to beł o mile dalij w swiece. I tak on szed i szed, jaż przeszed we wieldzi las. Tam go zaszła noc. A jak on se tak

błądzel i nie wiedzoł, gdzie ostac na noc, tej on uzdrzoł miedze drzewami wid i trafiel do staryj chałupe w lese. Z okna tyj chałupe ten wid sę swieceł. Wloz do tyj chałupe i uzdrzoł tam starą kobietę z biołymi włosami, i prosel ję, żebe go otrzymała na noclyg. Ale ona rzekła: — To nimoże bec. Jo jem miesądzowa matka. Dzys miesądz*) bardzo reno przyńdze do dom, to be on cę weswieceł. A tede be mogło bec zle!

Ale on ję tak długo prosel, jaż go otrzymała. Miesądz tyj noce barzo wczas z nieba zeszed i przeszed do dom i zaru weswieceł gosca i sę go pytoł:

— A skądka te tu trafiel? —

— Jo szukom, — odrzek chłopok, — drodzi do kręgu okręglygo żelaznyj zemni. Te miesiądzu chodzysz po niebie i wszetko weswiecysz, nie wiesz te, chdze to mniejscy je? —

— Tego jo cy nie wiem powiedzec. Muszy to bec barzo daleko. Te musisz jic dalij sę opytał —

Tak on szed dalij i ju pod wieczór trafiel znówu na chałupę w lese. Tam on widzoł kobietę, tak starą że ledwo beło do poznaniu, że to człowiek beł. Tę on prosel o noclyg. Ale ona odrzekła:

— To nimoże bec. Jo jem słuńcowo matka. Słuńce w tyj chwili przyńdze do dom i mogłobe bec zle! —

Ale on tak długo prosel, jaż go otrzymała. Jak słuńce przeszło do dom, tej on rzek:

— Słuńce złoty, te ju od tyli lot swiecysz chodząc na niebie od wschodu do zachodu. Te wszetko grzejesz i budzysz i widzysz. Te też będziesz wiedzało, gdzie je krąg okręgly żelaznyj zemni! —

Ale słuńce odrzekło:

— Tego jo nie wiem. To muszy bec srodze daleko.

*) Ksieźyc.

Te muszysz jic dalij! —

Tak on zabroł sę i szed dalij. A szło mu barzo ostro, bo mniol ne milowy bote na nogach. Jesz pozną nocą zaszed on do jednyj checze, chdze mieszkała staro kobieta. Tyj on sę pytoł, czebe nimog u nij na noc ostac. Ale ona odrzekła:

— To nimoże bec! Jo jem matką sedmu senów, a wszesce są wiatrami. Jakbe oni przeszle do dom, mogłobe bec zle. Ale on je tak długo proseł, jaż ona go otrzymała. Niedługo trwało, tej jij sene z wiedzim szumem przeszle do dom. Tak ten głupy zaru jich sę pytoł:

— Wa wiatre chyży, co obiegota cały swiat, lecąc przez modry obłok słoneczny, jeżdżąc chmurami po niebie, powiedztaż mie, chdze je krąg okrągły żelaznij zemni?—

Ale wiatre odrzekłe wszesce:

— Tego ma nie wiema! —

Tak nen chłopok sę srodze zasmuceł, ale ta staro matka wiatrów rzekła:

— Cet le chłopku! Tych moich senów le je szesc doma, tego sodmygo jesz nima. Jak on przyńdze, tej go sę spytej, może on wie. —

— Naroż stoł sę taci straszny szum na dworze, że jaż chata sę trzęsła, a matka wiatrów rzekła: To on je, to je muj sodmy syn, a zarazem nodzekszy ze wszescich. —

Jak on przyszed do jizbe, tak chłopok sę go pyto:

— Wiatrze chyży, co rwiesz chmure i łomiesz drzewa w boru, co w okagmieniu objeżdzoż kraje swiata, i wszędzie wchodzysz i wechodzysz, nie wiesz te gdzie je krąg okrągły żelaznij zemni? —

— Jo wiem! — odrzek nodzekszy wiatre.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Kaszuby.

Znaszli tą ziemię, słowiański synu,
Wyhaftowaną złotem bursztynu.

Gdzie morska fala przez lat tysiące,

Pieści piaskowe ławy drzemiące!

Gdzie nad brzegami zdradliwą nocą

Wśród fal latarnie morskie migocą!

Znasz li tą ziemię, gdzie to po toni

Mewa za białym żaglem w pogoni!

Gdzie to do morza chyżemi kroki

Spieszą w kaskadach górskie potoki!

Znaszli tą ziemię, gdzie to jej pany

Lasem pokryte góry-tytany,

Z morzem rodzinnem szepcą, się kumią,

Gdzie skrzydła orle w obłokach szumią!

Na górach wioski, co jako prządki,

Brzegów dokola obsiadły grządki.

Znaszli tą ziemię, gdzie Łyska świeci,

Szembarckie Góry giną w zamieci,

Gdzie jezior echa huczą w kotlinach

Gdzie wrzos czerwieni się po dolinach!

Znaszli tą ziemię, gdzie sobie bierze

Gryf swój początek i ma swe leże!

Patrz, tam przed tobą ta ziem korona,

Nasza Kaszubska, nasza pieszczona.

Marya Wolska.

*

*

*

Siedm miast od dawna klóćą się z sobą,
Które to jest z nich wszech Kaszub głową:

Gdańsk miasto liczne,

Kartuzy śliczne,

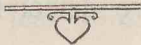
Święte Wejrowo,

Lębork, Bytowo,

Cna Kościerzyna

I Puck perzyna.

Marya Wolska.



Nigde do zgube nie przyńdą Kaszube!

Obrazek z Kaszub.

Napisał

(Ciąg dalszy).

Rzeczywiście była to ukochana Maryszka. Więc on niemieszkając, — wojna go oczywiście nauczyła tej odwagi, — przyskoczył do niej i objął ręką wolną jej jasną główkę i raz i drugi pocałował różowe usta w zdziwionej twarzy. Lecz dziewczę, odzyskawszy niebawem przytomność, wyrwało się z jego objęcia i mokrą szmatą, którą trzymało w ręce, uderzyło go w samą twarz:

— Bezwstydniku! —

On nawpół markotny, nawpół śmiejąc się ocierał sobie rękawem twarz. Jej zaś w tej chwili się ogromnie żal zrobiło, że go tak źle przywitała biedaka i zarazem miłość zatajona i długa tęsknota i wstyd, że ją tu tak spotkał nad jeziorem, rozebrały ją, że upuściła szmatę na piasek i zakrywszy oczy obiema rękoma, zaczęła płakać. On zaś mając już wymówkę na języku, kiedy ujrzał że płacze dziewczyna, objął ją powtórę, teraz już nie broniącą się, a ona złożyła swą główkę na jego w gruby folisz okrytym ramieniu. Nie mógł także nic mówić z wzruszenia, aż po chwili, kiedy nie przestawała płakać, pogłaskał ją po główce jasnowłosej i pocieszał:

— Nie płacz, Maryszko, tec to mie nie bolało! —

Słońce ognistą twarzą zanurzyło się za czarnym borem, który od zachodu okalał jezioro i rozlewało krwawe blaski na jeziorze, złotą luną rozpalając okienka chat wiejskich. Tych dwoje ludzi zaś wiejskich i prostych jak przyroda, na której łonie wyrosli, oblało blaskiem swym złotym, jak parę dzieci królewskich z cudownej

bajki. Tak ich ujrzał stary Zmuda, który wiosłując wazki „czolen“ na Józwową kępe, przejeżdżał jeziorem w pewnej odległości. Poznał też od razu tych dwoje, którzy na chwilę zapomieli o świecie koło siebie, i przez pewien czas patrzył, mrużąc oczy, z wyrazem zgorznienia w swej wieśniaczej twarzy. Lecz po krótkiej chwili jął dalej robić wiosłem i rzekł do siebie:

—Mają się do siebie młody. Ale niechże mają, ciej to tako wola Bosko! —

Wojtk się nieco spóźnił na umówione miejsce, lecz stary Zmuda nie czynił mu wymówek, ani też nie zdradził, że wie, dlaczego się Wojtk spóźnił.

II.

Brakło teraz do szczęścia Wojtkowego tylko jednej rzeczy: ażeby stary Bieszk, zapisawszy mu karczmę i rolę, osiadł na deputacie, poczem by mógł sobie wziąć Maryszkę. Lecz miało się obyć bez zapisu. Stary Bieszk bowiem, widząc młodą siłę obok siebie, prędko jakoś zaniemógł i upadł, jak upada podpora wystawka stara, skoro obok niej podciągniesz świeżą, zdrową i mocną.— Kaszuba, przynajmniej ten typ dawny, już wymierający, nie choruje. Kiedy zaś już musi w pierzyny, to pora po księdza, bo żaden doktor tu nie pomoże. Matusz Bieszk jako poczciwy Kaszuba nie zrobił wyjątku z tej reguły, więc odebrawszy sakramenta święte, niezwłocznie Bogu ducha oddał. Pochowano go na cmentarzu w Brusach, bo tam stał kościół parafialny.

Teraz młody Wojtk objął prawem spadkobiercy karczmisko.

Taka karczma kaszubska składa się zazwyczaj z dużej izby i przyległego doń alkierza. W ścianie pomiędzy temi dwoma ubykacyami jest obok małych drzwi otwór

duży od podłogi do sufitu, którego dolną połowę zamyka stół szynkwasowy, wyglądu jak wysoka skrzynia. Górną połowę zamykają poziomo zawieszane drzwi, które zwykle są podniesione, jak rydel u czapki, i oparte o wstrzymujący je w tem położeniu pręt żelazny.

Zamykając „interes,” karczmarz spuszcza drzwi i zamyka je w razie potrzeby kłódką z stołem szynkwasowym. Wtenczas już nie widać szeregu różnobarwnych brzuchatych butelek, stojących w głębi w małym regaliku i beczek ze śledziami i kaszę poniżej na podłodze.—

Tak wyglądała karczma, którą objął Wojtk po ojcu. Dodać by tylko należało, że tynk na ścianach w izbie przybrał już był za rządów ojca niewyraźny jakiś kolor, centkowany gęsto czarnymi kropkami — śladami żywotności licznych latem na wsi much. Tak samo barwa szynkwasu i drzwi przy najlepszej chęci nie dała się słowami określić. Stary bowiem Bieszk był wielkim dusigroszem i bał się wydatków w gotówce, będąc przekonanym, że dla pocziwych Czornieżan zewnętrzny wygląd jego karczmy „sprawi.”

Innego zdania był Wojtk. Chcąc swojej przyszłej białce jak najpiękniej uszykować gniazdo rodzinne, zabrał się i otynkował świeżo wszystkie cztery ściany wapnem. Potem zawiesił na nich trzy obrazy, przedstawiające: jeden Ojca świętego, drugi duszyczki w ogniu czyszczowym gorejące, trzeci siebie samego na koniu z pałaszem w dłoni.

Szynkwas postanowił Wojtk także świeżo pomalować. A ponieważ to najważniejsza część karczmy, treść jej i źródło dochodu, uznał za potrzebne powierzyć ono malowanie człowiekowi fachu. Taki istniał we wsi Czornieżu w postaci muzykanta Lali, przezwanego także głupim,

tego samego, który Wojtkowi, ciągnącemu na wojnę śpiewał pieśni żołnierskie. Lala właściwie żadnego określonego zajęcia nie miał. Był muzykantem, i malarzem, i pisarzem w potrzebie. Umiał wszystko to, czego inni nie umieli, nie posiadał nic, nie robił żadnej ciężkiej roboty, ani na jeziorze ani w polu, i żył jednak jak ptak jaki polny. Za pracę nie brał zasług żadnych, a jeżeli jednak dostały mu się w garść pieniądze, to przetracił je tegoż dnia, sam nie wiedząc jak. Stąd Czornieżanie dali mu przydomek „głupiego.“

Więc do Lali udał się Wojtk w sprawie malowania. Lala też gotów za kilka kieliszków i „co w gębę“ i dobre słowo pomalować szynkwas jak najpiękniej. Żądał atoli pieniędzy na farbę, którą będzie trzeba w Chojnicach zakupić.

Wojtk więc dał „detci,“ a Lala poszedł po farbę do Chojnic.

Dwa dni minęły, a o Lali ani dudu. Trzeciego dnia przychodzi Lala jakby nigdy nic i mówi o wszystkim, tylko nie o farbie i malowaniu. A Wojtk się pyta:

— Gdzie farba?

— Ni ma farbe! —

— Gdzie mosz detci? —

— Ni mom detków! —

— A beles w Chojnicach? —

— A belem! —

Wojtk już wiedział. Więc odczekawszy dzień targowy w Brusach, zabrał Lale, by zakupić farby. Niebawem tedy Lala pod dozorem Wojtkowym jał okładać szynkwas od góry do dołu farbą krawo-czerwoną.

Podczas pracy przyszło natchnienie na Lale, które uwyraźniło się w ten sposób, że na szerokiej ścianie

stołu szynkwasowego, poniżej drzwi, namalował murzyna z cygarem w ustach.

Kiedy odłożył pędzel i razem z Wojtkiem się postawił przed dzieło swej ręki, obaj byli zadowoleni. Wojtkowi bowiem także się spodobał czarny jak smoła murzyn z czerwonymi oczyma i grubemi wargami, z których sterczało grube jak wędzona kielbasa cygaro.

Tak ustatkowawszy się, Wojtk jał uprawiać na dobre interes. Aż tu nowy kłopot.

Otóż jeden z pobożnych mieszkańców Czornieża, wpatrzywszy się dłuższy czas w murzyna na szynkwasie, przeżegnał się trzy razy i wypluwszy jał twierdzić, że to nie żaden murzyn, ale sam „zły,“ czyli djabeł. Człowiek który fakt ten wykrył, niebawem znalazł popleczników, będących jego zdania, aż po całej wsi trarał, że Wojtk dał w chrześcijańskiej karczmie wymalować djabła na przekorę Ojcu świętemu, który patrząc ze ściany, gorzyć się musi. Odezwały się pogrożki, że doniosą o tem Jegomości, który z ambony Wojtka „opublikuje.“

Wojtk się zląkł. Idzie więc do Lali i rzece:

— Cużes te mie uczyniel? — Mowią, że ten murzyn, to nie je żoden murzyn, ale — w jimię ojca i syna! — som szatan.

A Lala na to:

— Niech głupy godają, co chcą! —

— Ale Jegomosc mie z ambone opublikuje! —

— A niechże opublikuje! —

— Mówże z takim! — Wojtk obróciwszy się poszedł, bo już wiedział, dokąd się udać.

W sąsiedniej wsi Giełdonie istniał Paweł Doraba, przyjaciel nieboszczyka, gbur i szoltys gminy, zwany także na całą okolicę „landratem.“ Przydomek wziął

stąd, że cała okolica chodziła doń po radę. Paweł Doraba bowiem przebył dobrą szkołę gdzieś na koszejdrach jako parobek u księdza. Tamże stał w jakimś stosunku do jakiejś krewniaczki księżej gospodyni, i stąd nauczył się cenić dobre jadlo. Dostał, jak to u nas na Kaszubach mówią, „mądry brzuch.“ A ponieważ mądry brzuch wie, jak sobie dogodzić, więc mimo chudego gospodarstwa, urósł do rozmiarów, jakichby się żaden jegomość nie powstydzil. Pomnażało to tylko powagę Doraby u ludzi.

Do Doraby więc udał się nasz Wojtk i skarży mu się w sprawie nieszczęsnego murzyna. Doraba-landrat odrzekł: — A dosz do jodku i napitku?

— Dom! —

Zatem zaprzął Doraba konia w wasąg i nuże do Czornieża.

Skoro wieść gruchnęła po wsi, że Doraba-landrat u Wojtka w karczmie, chłopcy i gburzy jęli się powoli schadzać na kieliszek wódki. Doraba-landrat siadł tak, że patrzył murzynowi na szynkwasię prosto w oczy, a kiedy już gromada ludzi się zesła, rzekł do karczmarza:

— A chtaż ce tego murzyna namalował? —

W tem wyrwał się niejaki Filip, gbur z wioski:

— To nie je murzyn, le som istamantny tfo! djobel! —

Na to tylko czekał Doraba. Obrócił się powoli ku Filipowi i wejrzał nań wzrokiem takim, jakby patrzył na kandydata do domu waryatów. Potem pociągnął piwa i rzekł powoli, obróciwszy się do Filipa z całą swą okazałą figurą:

— A znajesz te katejzemo? —

— Czemu nimom znac? — odparł Filip.

A wiesz te co w nim stoi?—

Filip umilkł, bo już 30 lat temu minęło, jak chodził na naukę. Ludzie tymczasem skupili się i przysunęli jak najbliższej do Doraby i Filipa. — Doraba tymczasem patrzył na Filipa, jakby czekał odpowiedzi, a widząc go zmieszanego, powoli znowu pociągnął piwa i rzekł:

— A widzysz! — Te nie wiesz, co w katejzemie stoi! Ale ja wiem. Ja ce to powiem. W katejzemie stoi zapytani: »Co je lucyper?« a odpowiedz brzmieje tak: »Nie bujce się djobła z r o g a mi,« — »z rogami« powiedział Doraba wolno i dobitnie, — ale będzce błogosławiony miedze niewiastami! —

Tu Doraba umilkł i patrzył po zebranych jak król. Ci atoli milczeli, gdyż mieli zbyt wielki respekt przed osobą Doraby-landrata, aby się z nim wdać w sprzeczkę, chociaż dziwnym się im wydawał taki rymowany katechizm. A Doraba ciągnął dalej wskazując na murzyna:

— W katejzemie, naszym zdrzodle świętyj wiare stoi: »z rogami,« a chto tam na tym murzynie widzy rodzi? Jo nie! —

— Jo też nie! — odezwało się z wszystkich stron.

— No widzysz! — odezwał się teraz Doraba do Filipa. — A te be chcoł naukę naszą świętą koszlawic i rzec, że djobel nimo rogów, chcolbes twierdzec, że to je som Luceper, choc to le je nędzny murzyn?

Filip się na ten zarzut herezyi ogromnie zmieszał, ale chcąc odwrót przynajmniej ratować, odparł nieśmiało:

— Ale je czorny! —

— Smolorz je też czorny! — odrzekł Doraba-landrat. — A murzyn choc je czorny, to mo duszę biolą, bo ta czorno farba nie jidze jaż do wnętrznosci. —

(Ciąg dalszy nastąpi).

Książki i czasopisma.

I. Roczniki Towarzystwa Naukowego w Toruniu. Rocznik XV Nakładem Towarzystwa Naukowego. Druk J. Buszczyńskiego 1908. Główną część rocznika piętnastego zajmuje praca ks. Kujota pod tytułem: „Czternasty listopada 1308 r. w Pomorzu Gdańskim.“ Jestto dzień, w którym zburzyli Krzyżacy zbrodniczą dłońią stary Gdańsk kaszubski, a przywołani w pomoc przez króla Łokietka przeciw Brandenburczykom, sami się zrobili panami Pomorza gdańskiego. Praca szanownego autora rzuca dużo światła na nieznane lub niejasne dotychczas szczegóły historii kaszubskiej od chwili zgonu wielkiego Świętopelka, (11. stycznia 1266.) aż do opanowania Gdańska przez Zakon krzyżacki w pamiętnej nocy 14. listopada roku 1308.

Krótki ten stosunkowo, lecz brzemienny w wydarzenia epokowej wagi czas, autor sumiennie rozbiera, uwypuklając najważniejsze wydarzenia i odkrywając zaslonę z tajemnych nici, jakie łączyły Pomorze z dziejami Polski. Wdzięczni jesteśmy za częściową rehabilitację Mściwoja II., którego niemiecka historyografia z powodu jego antyniemieckiego stanowiska przedstawiać lubi jako intryganta bez czci i charakteru. W pracy ks. Kujota przedstawia się on nam jako zręczny dyplomata, który w najtrudniejszych warunkach potrafił utrzymać państwo swe w granicach odziedziczonych po wielkim ojcu, — który bystrem okiem przejrzał, że ocalenie i przyszłość Kaszub nastąpić mogą li w połączeniu z Polską, — który nareszcie sam się przyczynił do odnowienia korony polskiej, która zdobyła później skroń zbyt wczesnie tragiczną śmiercią zgasłego króla Przemysława.

Tak samo oświetla praca dzieje rodu Święcy i Piotra z Nowego, rodu, który pod czterema władzcami: Mściwojem, Przemysławem i czeskiemi Wacławami II. i III. tak świetną odgrywał rolę, aż splamiwszy się zdradą własnego kraju, zgasł wkrótce w dziejach Pomorza Gdańskiego. Autor stanowczo występuje przeciw rozpowszechnionej dotychczas najbardziej wersyi, jakoby spór pomiędzy biskupem kujawskim a Święcą i Piotrem, i rzekome niesprawiedliwe rozsądzenie sprawy przez Łokietka na niekorzyść ojca i syna było powodem zdrady. Powody atoli przez autora podane nie wydają nam się dosyć przekonywającemi.

Nareszcie i sam fakt objęcia Gdańska przez zakon krzyżacki

podlega rzeczowemu a w swych konkluzjach niepoehlebnemu dla zakonu oświeceniu. Gwałty i okrucieństwa, które towarzyszyły objęciu Kaszub przez Zakon, zatarły na korzyść niemczyzny słowiański charakter Gdańska na zawsze, lecz nadały ich rządowi też piętno niezatarte, które uczyniło je później nieznośnym własnym ich rodakom i w skutkach swych spowodowało później gwałtowną reakcję i powrót Pomorza pod berło polskie. —

Dalej znajdujemy w Roczniku krótszą pracę Dra. Kętrzyńskiego pod tytułem: „Germanizacya Pomorza za polskich czasów.“ Trzy przyczyny złożyły się podług autora na germanizację szlachty pomorskiej: zawieranie małżeństw z córkami niemieckich rodzin miejskich, szerzący się luteranizm, a nareszcie służba w wojsku pruskim. Liczne przykłady procesu germanizacyjnego, jakiemu uległa szlachta tubylcza, znajdujemy w tej pracy, tak bardzo nas zawstydzającej. —

Umieszczone dalej pod tytułem: „Stan rzemiosła w Prusach Zachodnich w ostatnich 10 latach“ studjum P. Szpandowskiego, dowodzi, że Towarz. Naukowe zakres swej pracy rozszerza także na dziedzinę społeczno-ekonomiczną. Ci wszyscy, którzy się zajmują podźwignieniem przemysłu naszego, będą autorowi wdzięczni za tę równie gruntowną jak pouczającą pracę.

Rocznik kończy się pracą ks. Chmieleckiego: „Przyczynki do chronologii grobów przedhistorycznych,“ (z ilustracyami) oraz obszerną bibliografią.

2. Kaschuben. Kleine Bilder aus der Heimat von Paul Herrmann Joseph, Schriftenvertriebsanstalt G. m. b. H. Berlin S. W. B. — Dawniej karczmarze nasi mieli zwyczaj, fałszywą monetę znalezioną w obiegu przybić gwoździem do stołu i uczynić ją przez to nieszkodliwą.

W tym duchu i my omawiamy powyższą książkę, chociaż wyszła ona już kilka lat temu. Autorem prawdziwym jest pastor kościerny p. Harder, który też pisze. Tytuł książki „Kaszubi“ da się uzasadnić logiką: lucus a non lucendo. „Kaszubami“ autora są: nauczyciele gimnazjalni, dyrektorzy szkół, niemieccy przemysłowcy i kilka właścicieli ziemskich — Niemców. Paradni „Kaszubi“!

Powieść, zabarwiona pomyjami plotek i anegdotek z życia urzędniczek pruskiej, płynie mialkim korytem małomiejkiego światopoglądu, w którym autor cienką laską chudego dowcipu mąci wodę. Bohaterów tej powieści autor zwie Kaszubami, chociaż

zachodzący w niej nocny stróż nawet jest Niemcem.

Z pewną niekonsekwencją atoli autor wspomina raz i o Kaszubach prawdziwych. Skąd atoli czerpie swe wiadomości, to pozostanie jego tajemnicą. Może mu za źródło służyła owa uczona książka, w której niemiecki badacz twierdził, że Kaszubi mieszkają w jamach podziemnych. Dziwić się należy tej ignorancji człowieka, który od szeregu lat urzęduje na Kaszubach. Na str. 17 kapitalny czytamy ustęp mający charakteryzować Kaszubów. Otóż handlarz bydła machnie kijem po plecach Kaszubę, chcącego mu krowę sprzedać. Kaszuba zaś pyta tylko: Co chcesz? (autor pisze: *zo chesch*), „wcale nie urażony takim traktowaniem.“ — Nie jesteśmy o tyle złośliwi, ażeby autorowi radzić do popróbowania tej metody niby handlarskiej, bo mógłby się doraźnie przekonać, że kij ma dwa końce. Co do charakterystyki swych pseudokaszubów, a właściwie Niemców — urzędników, nie jesteśmy kompetentni o tyle, by jej zaprzeczyć. Jeżeli się zgadza z prawdą, co autor pisze, to byłiby to ludzie małostkowi i pozbawieni wyższych aspiracji. Dla kobiet najmiłą rozrywką — plotka, dla mężczyzn — *Dämmer-schoppen* czyli *bibka wieczorna*.

Czemu autor daje tytuł „Kaszubi“ swemu zresztą nieszkodliwemu pisaniu?

Jedyny dający się psychologicznie rozumieć powód byłby ten, że wziął sobie przykład z nazwy dawnych Prusaków, po których Niemcy, wytepiwszy ich doszczętnie, wzięli ziemię i miano. Jeżeli tak, to autor wziął skórę niedźwiedzia, podczas gdy niedźwiedź jeszcze w lesie. My prawdziwi Kaszubi żyjemy jeszcze, a pan pastor doprawdy nie będzie śpiewał na naszej Pustej nocy. Nazwa więc „Kaszubi“ na jego książce robi dziwaczne wrażenie, jak rogi na osłej głowie. Nie brał by więc nam naszego poczciwego miana i nie kładł go na swych lampą i piwem cuchnących pseudokaszubów.

Märchenschatz. Volksmärchen, in Westpreussen gesammelt und nach dem Volksmunde wiedergegeben von Paul Behrend, Danzig. Verlag und Druck von A. W. Kafemann G. m. b. H. 1908.

Dwadzieścia i pięć po niemiecku opowiedzianych bajek z Prus Zachodnich. Niejedne nieco ufryzowane. Podług przedmowy autora pochodzą bajki te z „wielkiej duszy ludu niemieckiego,“ (der

grossen deutschen Volksseele) chociaż później twierdzi, że „lud zachodnio-pruski“ ich dostarczył. Tu tkwi sprzeczność. Przecież „lud zachodnio-pruski“ składa się nie tylko z Niemców ale i z Polaków. Czy autor doprawdy chce twierdzić, że Polacy zachodnio-pruscy zapożyczyli swe bajki od wielkiej „duszy niemieckiego ludu“?

Autor jest nauczycielem ludowym król.-pruskim.

Sleinvische Texte. Dr. Friedrich Lorentz. Izdanie wtorego Otdielenija Imperatorskoj Akademii Nauk. St. Petersburg 1905. Pod powyższym skromnym tytułem zebrał znany badacz inowu kaszubskiej 130 podań i bajek u Kaszubów nad ujściami Łeby i Łupawy, oraz 50 różnych wierszy i trzy oryginalne melode. Jest to największy dotychczas istniejący zbiór tego rodzaju w narzeczu kaszubskim a szerszym kołom wcale nieznanym. — Autorowi przy zbieraniu tak obszernego na nasze stosunki materiału chodziło mniej o treść podań i bajek samych, jako o podanie przykładów językowo-dyalektowych. Dla tego książka ta w obecnej formie poza gronem lingwistów mało znajdzie czytelników. Mimo to wdzięczni jesteśmy autorowi za ten zbiór, zebrany z ust konającego szczepu nadlebskich Kaszubów. Niejedne bajki, jak nr. 92 zbioru „O znaku królewskim“ są wprost wzniosłe swą treścią i pochlebnie świadczą o umysłowej kulturze szczepu, który w oczach naszych wymiera. —

Interesującym się baśniami ludu kaszubskiego książka ciekawo podaje materiały.

O ile nam wiadomo można ograniczoną liczbę egzemplarzy nabyć jeszcze u autora samego.

(Adres: Dr. Lorentz, Karthaus, Spitzberg.)

Od redakcyi.

Na str. 37 zaszedł rażący błąd drukarski: W 12-tym rządku z góry trzeba czytać: którzy wcale dzieci nie mają, zamiast którzy wiele dzieci nie mają.

Panu L. w K. Dziękujemy. Umieścimy w przyszłym numerze. Prosimy o nas nadal pamiętać.

Pani W. w R. Dziękujemy serdecznie.

